JERZY OSTROWSKI



OZDOBIŁ BOGDAN NOWAKOWSKI

GROMADA ŚWIATEM WŁADA!

WYDAWNICTWO

WYDZ · PROPAGANDY · ZW · POL · STOW · SPOŻ.

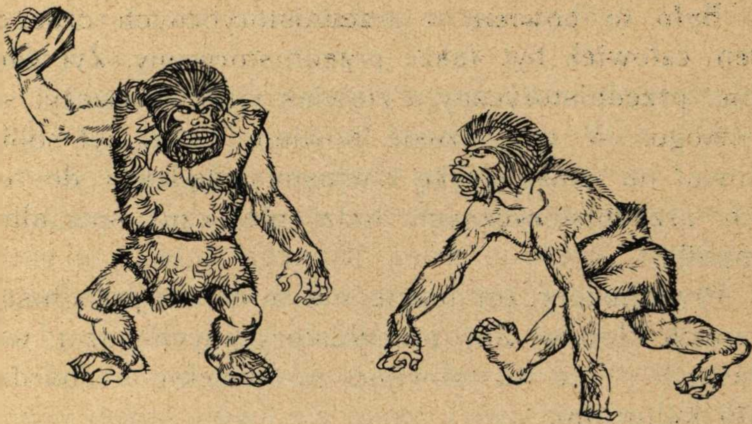
J. OSTROWSKI

Gromada — światem włada

HISTORJA PRZEDHISTORYCZNA.

WARSZAWA
1924.

Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich
Warszawa, Nowolipie 11. Telefon 242-40.



ROZDZIAŁ I.

O człowieku, który żył sobie.

Dawno, bardzo dawno temu, tak że już nikt oprócz mnie, tego nie pamiętą — żył sobie Człowiek.

Zawsze się tak mówi, że „żył sobie“, ale nikt nie pomyśli co to znaczy. Co innego ja: ja jeśli mówię, że ten Człowiek żył „sobie“, to wiem co mówię.

Człowiek ten żył „sobie“ i tylko sobie, dla siebie i koniec. Mogły się w sąsiedztwie zawalać dwie kamienice, mogło być krótkie spięcie, albo wybuch gazu, a on dalej żył sobie.

Jeśli Człowiek, który żył sobie upolował zwierzynę, to zjadł sobie, a potem spał sobie, a jak mu było wesoło, to śpiewał sobie.

Było to bowiem w przedhistorycznych czasach i ten człowiek był także przedhistoryczny. Żył więc sobie przedhistoryczny Człowiek i nie troszczył się o nikogo. W tym czasie bowiem każdy żył sobie, polował na własną rękę i własny żołądek i do innych przedhistorycznych ludzi nie czuł specjalnej sympatji.

Przedhistoryczni ludzie nie mieli ani przedhistorycznych klubów, ani przedhistorycznych gazet, wogóle byli — co tu obwijać w bawełnę — bardzo mało kulturalni.

Jeśli jeden przedhistoryczny Człowiek polował sobie i spotkał drugiego przedhistorycznego Człowieka, który znowu sobie polował, to naprzód obaj chowali się za przedhistoryczne drzewa i patrzyli na siebie z podełba. Potem albo szli w różne strony i tam sobie polowali, albo jeden z nich krzyczał do drugiego:

— Co tu masz za interes? Tu ja poluję.

— Stawiasz się?

— A stawiam.

— A ja ci mówię odknaj!

— To ty odknaj, bo jak cię zajadę!...

Tak to rozmawiali przedhistoryczni ludzie i na myśl im nie przychodziło, że dżentelmen nie używa takich słów jak „stawiać się“ „odknaj“ albo „zajadę“.

To trudno, uprzedziłem was, że byli to ludzie mało kulturalni.

Kiedy już sobie dosyć namówili nieprzyjemności jeden na drugiego rzucał kamieniem, albo gryzł go w łydkę i przedhistorycznie ryczał.

Człowiek, o którym mówię, urządził sobie mieszkanie w jaskini, naznosił sobie suchych przedhistorycznych liści i przedhistorycznego mchu, zrobił sobie legowisko i był zadowolony.

Niema co go zresztą tak bardzo żałować: gdyby w jego jaskini zjawił się agent Towarzystwa Wyrobów Sprężynowych Angielskich Łóżek, pod firmą „Marzenie„, albo „Kartagina" i pokazał przedhistorycznemu Człowiekowi cennik, proponując mu nabycie jednego, albo dwóch — on nietylko nie dałby ani grosza, ale jeszcze wyrzuciłby go z jaskini bez pardonu.

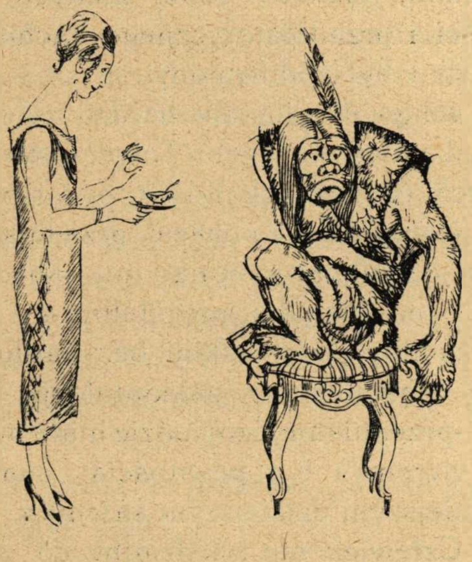
Wogóle — jak nas uczy paleontologja, archeologja i kaligrafja—przedhistoryczni ludzie mało byli obeznani z „savoir vivrem [1]) i z pewnością, znalazłszy się w najskromniejszym dzisiejszym saloniku, taki przedhistoryczny Człowiek nie wiedziałby co zrobić z cylindrem. A gdyby jeszcze dostał z rączek pani domu filiżankę kawy, to byłby całkiem nieszczęśliwy.

Miał on swoje przyjemności i był całkiem szczęśliwy bez salonów, teatrów, kinematografów i gramo-

---

[1]) Prawidła życia towarzyskiego.

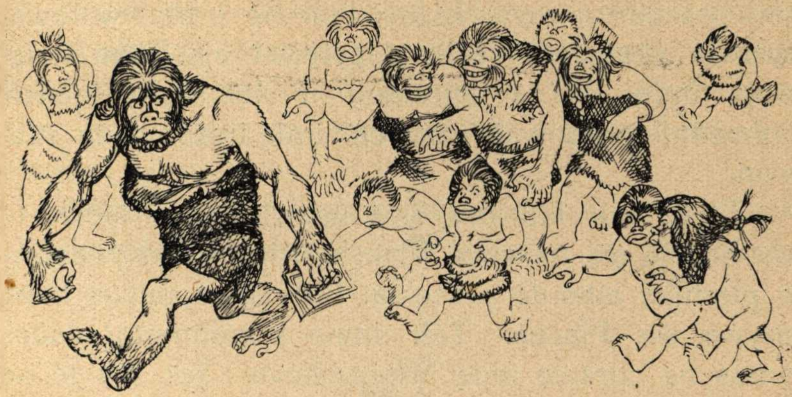
fonów. Naprzykład kiedy był ciepły dzień—kładł się na słońcu (oczywiście nie trzeba brać tego dosłownie) i grzał się. Leżał tak sobie dopóki nie znudziło się jemu, albo słońcu. Albo kiedy udało mu się upolować przedhistorycznego zająca—jadł go sobie bez



widelca i noża, nie czekając aż wezmą starsi, których zresztą przy tem nie było.

Wiedział on, że niezbyt daleko mieszkają sobie (także sobie!) inni przedhistoryczni ludzie, ale wcale nie próbował nawiązać znajomości. I z pewnością gdyby lokaj mu zameldował:

— Przedhistoryczny pan X i przedhistoryczna pani X, — to on odpowiedziałby napewno, że nie przyjmuje, albo, że go niema w domu. (Nie jestem zupełnie pewien czy przedhistoryczni ludzie umieli już kłamać, czy też nauczyli się tego w miarę postępu kultury). Żył więc sobie przedhistoryczny Człowiek i nie myślał, że można żyć „nie sobie".



ROZDZIAŁ II.

W którym się okazuje jak Człowiek użył swojej siły.

Przedhistoryczny Człowiek, o którym mówimy, wcale się tem nie martwił, gdzieby imię jego było wypisane, a choć nie miał paszportu, nazywał się Dziczy Kieł. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w tych czasach jeżeli ktoś miał paszport — była to nadzwyczajna rzadkość. Ludzie za nim biegali całemi tłumami i musiał wszystkim pokazywać ten nieszczęsny paszport, aż mu to obrzydło i rzucał go gdzieś w rów. Tak więc nikogo to nie dziwiło, że Dziczy Kieł nie

miał paszportu, za to każdy, kto się z nim w towarzystwie zapoznał, zaraz dopytywał się, skąd wziął swoje imię. Bo z imionami to też było inaczej w przedhistorycznych czasach: imię trzeba było zdobywać.

Teraz jak kto ma ojca nazwiskiem Placek, to i on będzie się nazywał Placek, choćby był podobny do piernika albo do precelka. Ba! nieraz nawet baba nazywa się Placek. Tak samo z imionami: dadzą komuś na chrzcie imię Mieczysława i już ma je na całe życie, nie potrzebując zdobywać mieczem sławy, aby dostać tak piękne imię. Wtedy było o wiele trudniej: imię można było sobie dopiero wówczas przybrać, gdy się spełniło jaki wielki czyn. I przeciwnie: jeżeli kto splamił się tchórzostwem, złamaniem słowa, albo okazał głupotę, nadawano mu brzydkie imię, które nosił dopóty, dopóki nie poprawił swej opinji.

Nic też dziwnego, że Dziczy Kieł z przyjemnością opowiadał każdemu, kto go o to pytał, w jaki sposób zdobył sobie imię.

A było to tak. Dziczy Kieł (który wówczas jeszcze wcale się nie nazywał) szedł sobie (sobie!) przez las i był bardzo głodny. Kupić jedzenia nie miał za co, zresztą gdyby nawet w tej chwili był przy pieniądzach nie na wieleby mu się to przydało, bo nie było wtedy sklepów spożywczych i kolonjalnych, a nawet — jak twierdzą uczeni — wcale nie było sklepów.

Szedł więc Dziczy Kieł (który jak wiecie nie nazywał się tak jeszcze) i rozglądał się coby tu zjeść. Było mu też chłodno porządnie, bo nie rosło na nim futro, jak na zwierzętach, a pora roku była zimna.

Wtem zobaczył ogromnego odyńca, to jest dzika chodzącego samotnie. Taki odyniec to jest bardzo



niesympatyczne zwierzę: patrzy zawsze z podełba, kły wystają mu z ryja i o byle głupstwo gotów się zaraz pojedynkować. Dlatego nazywają go także „pojedynkiem".

Dziczy Kieł pomyślał sobie jak to byłoby pięknie zjeść dziczej szynki i okryć się dziczą skórą; byłaby to poprostu dzika przyjemość!

Ale cóż? nie miał ani dubeltówki, ani karabinu, ani nawet armaty. Poprostu był z gołemi rękami. Mimo to nie stracił odwagi, lecz rzucił się na pojedynka, pamiętając o łacińskiem przysłowiu „audaces fortuna juvat“ — śmiałym dopomaga szczęście.

Dzik stropił się nieco i uskoczył w bok, ale za chwilę już napadł na człowieka, próbując rozpruć mu brzuch swoim ostrym kłem. Ten pomysł wcale nie przypadł do gustu człowiekowi, to też złapał dzika z całej siły za ucho, a drugą ręką zaczął go boksować po łbie. Tymczasem jednak straszny kieł przybliżał się do ciała człowieka, grożąc śmiercią. Człowiek widząc, że jego kułaki wywołują tylko uśmiech pobłażania ze strony odyńca, zaczął jedną ręką szukać koło siebie czegoś twardego, znalazł też duży kamień ostro zakończony i w chwili, kiedy dzik zatapiał swój kieł w jego nodze — uderzył go z całej siły w łeb. Potem jeszcze, aż pojedynek zrezygnował z pojedynku i z życia.

Wtedy człowiek zaczął tańczyć i skakać na prawej nodze i wykrzykiwać wesoło:

— Hop — hop! Hej — hej! Ho — ho! i tak dalej.

Na prawej nodze skakał kwadrans, a na lewej dziesięć minut, potem usiadł w kucki i zaśpiewał sobie:

Ho — ho! O — hej! Szedł nagi Człowiek borem.
Człowiek głodny. Bardzo głodny.
A naprzeciwko Dzik. Dzik w futrze.
Dzik smaczny.
Ho — ho! O — hej!
Człowiek chciał zabić Dzika
Dzika groźnego. Dzika złego,
Odyńca.
O — hej!
Dzik miał ostre kły.
Dzik chciał zabić człowieka.
Człowiek złapał go za ucho.
Człowiek bił go kułakiem.
O — hej!
Dzik silny i Człowiek silny.
Człowiek wziął kamień ostry.
Dzik ma kły. Człowiek ma kamień.
O — hej!
Dzik drasnął kłem. Człowiek uderzył kamieniem.
Dzik nie żyje. Człowiek żyje.
Człowiek będzie jadł Dzika.
Człowiek ubierze się w jego futro.
Człowiek jest silny, bardzo silny.
Silniejszy od zwierząt.
O — hej!

Być może, że w jakiej operze śpiewają ładniej, ale Człowiek był z siebie zupełnie zadowolony. Po-

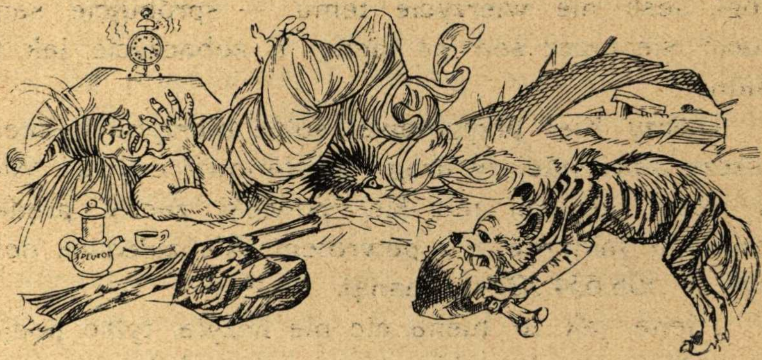
tem tym samym kamieniem rozpruł skórę, zdjął ją z dzika i włożył na siebie mówiąc:

— Zdaje się, że to futro będzie mi do twarzy.

Jedną szynkę dzika zjadł zaraz, a drugą zostawił sobie „na później“. Wreszcie przyczepił sobie kieł dzika na szyi i powiedział:

— Ja jestem Dziczy Kieł. Tak się nazywa od dziś Człowiek silny, bardzo silny. Dziczy Kieł — takie jest imię silnego Człowieka.

Od tego czasu Człowiek nabrał odwagi, bo przekonał się, że nie jest słabszy od niektórych zwierząt.



ROZDZIAŁ III.

W którym nie wystarcza siła Człowieka i Człowiek musi użyć rozumu.

Dziczy Kieł cały następny dzień był dumny i jadł dziczą szynkę. Od czasu do czasu biegł do rzeczki i przeglądał się w niej, czy mu dobrze w nowem futrze.

Ale tej samej nocy miał Dziczy Kieł przygodę: przedhistoryczna hiena zjadła sobie najspokojniej jego zapasy, kiedy on najspokojniej spał sobie.

Dziczy Kieł wiedział dobrze z zoologji, że hiena jest bydlę tchórzliwe i gdyby nie spał — byłby się śmiało na nią rzucił. Ale przez sen zrobić tego nie

mógł. Jeśli nie wierzycie temu — spróbujcie sami rzucić się przez sen na hienę, a zobaczycie jak to trudno.

Dziczy Kieł przygotował sobie olbrzymi kamień, jeszcze olbrzymiejszy drąg i postanowił czuwać. Kiedy uczuł, że sen mu klei powieki zaczął prędko liczyć do miljarda i z powrotem. Ale zaledwie doliczył do 598.634.327-u, zasnął.

Hiena, jak to hiena nic nie liczyła, tylko podjadła sobie i poszła sobie, śmiejąc się głośno, co hiena umie doskonale, jak twierdzi Brem, Nusbaum i inni podróżnicy.

Dziczy Kieł złościł się na siebie strasznie, ale to, jak się pewno przekonaliście, niewiele pomaga. Tak też było i tym razem. Dziczy Kieł się złościł, a dzicza szynka nie odrastała.

Dziczy Kieł postanowił więc dogonić hienę i nauczyć ją rozumu. Puścił się więc w pogoń ze wszystkich sił. Ale hiena uważała widocznie, że ma dosyć rozumu i nie potrzebuje dokształcania w tym kierunku, bo uciekała jak oparzona.

Dziczy Kieł zmęczył się, zadyszał, spocił, znurzył, zakurzył, podrapał, zasapał i... nie dogonił hieny.

Dziczy Kieł, który był bardzo dumny ze swej siły (niedarmo zabił dzika!) był teraz zrozpaczony. Hiena zaczęła uważać go za tanią kuchnię i odwiedzała co noc.

Dziczy Kieł postanowił jeszcze wzmocnić swoje siły. W tym celu ćwiczył się hantlami i gimnastykował na przyrządach i według systemu „Müllera“ („15 minut dziennie dla zdrowia“), urządzał sobie rekordy w skoku o tyczce, rzucie dyskiem i biegu na na 10 metrów. Pijał też na noc czarną kawę i puszczał sobie pod prześcieradło przedhistorycznego jeża. Wszystko to jednak było na nic dopóki nie spał hiena się nie pojawiała, a gdy tylko zdrzemnął się — natychmiast znikała jakaś sarnina, albo comber, zajęczy, albo pasztet strassburski, słowem co tam upolował tego dnia.

Wreszcie Dziczy Kieł stuknął się w głowę i powiedział do siebie z głębi serca:

— O ty idjoto!

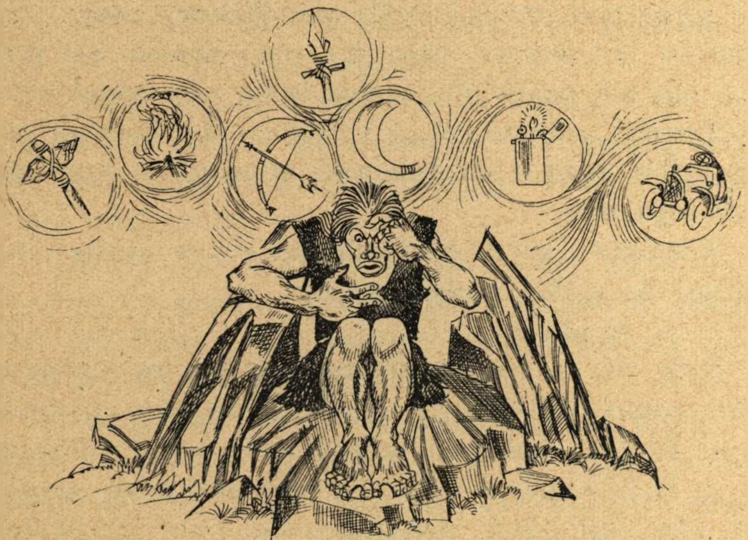
Była to zresztą tylko tak zwana w stylistyce figura retoryczna. Zaraz bowiem po tym wstępie, Dziczy Kieł zaczął rozumować i tak sobie mruczał:

— Dzik nauczył mnie, że człowiek musi używać swej siły, jeśli chce zostać żywym, mieć pożywienie i ubranie. Ale hiena nauczyła mnie, że siła to nie jest wszystko. Jeżeli jakie marne zwierzę nie posiadające inteligencji, ani innych własności psychicznych mogło okazać spryt, to czyż ja — Człowiek nie powinienem użyć swego rozumu?

Zaraz więc Dziczy Kieł poszedł po rozum do głowy, potem siadł wygodnie i zaczął wymyślać różne wynalazki Wynalazł więc ulepszone narzędzia

krzemienne, potem (zauważywszy iskry przy uderzeniu kamieni) wynalazł ogień, potem łuk, potem oszczep wreszcie bumerang.

I tak się zapalił do nowego zajęcia, że chciał jeszcze wynaleźć samochód i zapalniczkę, ale nie



udało mu się to, bo to były dopiero czasy przedhistoryczne i było zawcześnie na te wynalazki.

Przy każdym nowym wynalazku Dziczy Kieł wołał: — Eureka! — co znaczy po grecku „wynalazłem“. Ten okrzyk później tak wszedł w modę, że każdy wynalazca musiał wołać, „eureka“, kiedy już coś wynalazł. A jeden to nawet biegał nago po

ulicy, wołając „eureka“, na pamiątkę Dziczego Kła, który w tych czasach był prawie nieubrany.

Tak więc Dziczy Kieł rozpalił sobie duże ognisko w jaskini i przestał jeść surowe mięso. Robił sobie befsztyki, zrazy nelsońskie, zrazy nadziewane, pierożki z mięsem, a jak mu się nie chciało długo grzebać, to robił poprostu rosół i sztukę mięsa.

Kiedy go potem pytano w towarzystwie czy to prawda, że jadł surowe mięso, zapierał się w żywe oczy, a kiedy dla żartu dano mu raz połeć barana na surowo, odwrócił się pogardliwie i wypił kieliszek wina szampańskiego.

Tak więc od wynalezienia ognia zaczęła się kultura.

Teraz zwierzęta omijały zdaleka jaskinię Dzikiego Kła widząc w niej całą dobę świecące słońce. A dziczy Kieł grzał się koło ogniska, tańczył i wymyślał różne piosenki.

Najważniejsza z nich była „Pieśń do ognia“, która rozpoczynała się bardzo pięknie:

„Ogień jest ciepły.
Ogień świeci.
Ogień jest bardzo przyjemny“.

Potem szły: „Pieśń o inteligentnym łuku, który wie gdzie ma wysyłać strzały“. Dalej „Pieśń o figlarnym bumerangu“, „Pieśń o głupich zwierzętach i mądrym, bardzo mądrym Człowieku“.

Innych zapomniałem, ale były też dosyć ładne.

Teraz, jak Dziczy Kieł kładł się spać, to rzucał kilka dużych polan na ogień, a w progu zastawiał łuk w ten sposób, że kto go dotknął sam wypuszczał na siebie strzałę.

Jakże się cieszył Dziczy Kieł, kiedy pewnego ranka znalazł u wejścia do jaskini hienę ze strzałą w pręgowanym boku. (Zapomniałem wam bowiem powiedzieć, że była to hiena pręgowana).

ROZDZIAŁ IV.

W którym okazuje się, że siła i rozum jednego człowieka czasem też nie wystarczają.

Pewnego razu Dziczy Kieł wybrał się na polowanie, wziąwszy ze sobą siedem strzał (zapamiętajcie dobrze, że siedem). Pierwszą zaraz strzałą zabił młodego jelonka (ale nie z gromady tęgopokrywych). Strzałę tę chciał wyciągnąć i przy wyciąganiu złamał. (Zostało mu więc tylko sześć strzał).

Wkrótce potem zobaczył przelatującego bażanta i strzelił. Ale cóż? Jak to myśliwi powiadają: „pierze się posypało, a mięso poleciało“. Przy tej sposobności Dziczy Kieł zgubił strzałę i nie mógł jej odnaleźć. (Zostało mu więc tylko pięć strzał).

Wtem Dziczy Kieł usłyszał z tyłu, za sobą jakieś kłapania. Odwrócił się... wilki.

— „Homo homini lupus est“ — człowiek dla człowieka jest wilkiem, pomyślał Dziczy Kieł — a cóż dopiero wilk dla człowieka? Ponieważ jednak był odważny, silny i sprytny, schował się za drzewo i zaczął strzelać z łuku. Pięcioma strzałami zabił pięć wilków, a ponieważ stado składało się z 32 wilków, zostało jeszcze 27. Gdyby miał swoje dwie strzały, zostałoby tylko 25, ale ostatecznie to niewielka różnica.

Widząc, jak się przedstawia sytuacja bojowa, Dziczy Kieł zaczął uciekać, ale prędko zrozumiał, że siła jego nóg nie sprosta wilkom, tembardziej, że część gromady zaczęła mu zabiegać z innej strony.

Dziczy Kieł wlazł więc szybko na drzewo, nie porzucając swojej zwierzyny. Ledwo usiadł na pierwszej gałęzi, wilki już otoczyły drzewo.

Siedzieli tak dosyć długo: człowiek na drzewie, wilki pod drzewem. Dziczy Kieł zupełnie nie rozumiał, jak to się stało, że on — silny, odważny i rozumny człowiek musiał chować się na drzewo przed słabemi, głupiemi i tchórzliwemi zwierzętami. Postastanowił rozwiązać tę zagadkę i zagadnął siwego wilka w podeszłym wieku, który wyglądał na wodza:

— Więc oblężenie, co?

— Tak. Dopóki cię nie zjemy.

— Ach, co za brak wychowania! — zawstydził go Dziczy Kieł. — Dobre wychowanie nie pozwala mówić brzydkich rzeczy, które się myśli.



— Mniejsza o to! — mruknął wilk, chociaż widać było, że był zmieszany swem wystąpieniem.

— Powiedzcie mi — ciągnął Dziczy Kieł, jak to się stało, że ja, silny, odważny i rozumny człowiek musiałem uciekać przed wami.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się wilk. — Przecież to proste jak obręcz: bo nas jest dużo. A jak mówi przysłowie puszczy: „Gromada światem włada“. Gdybyście wy, ludzie, zabrali się do nas gromadą, gdybyście zrozumieli potęgę — że się tak wyrażę — spółdziałania — źleby z nami było...

— No tak... — mruknął Dziczy Kieł — ale przecież ja jestem człowiek, który żyje sobie.

— Otóż właśnie — zaśmiał się wilk — każdy z was żyje „sobie“, to też każdego z was po kolei zjemy my, którzy łączymy się w gromadę.

Dziczy Kieł bardzo a bardzo się zamyślił, bowiem zrozumiał, że nieraz rozum i siła jednego człowieka może nie wystarczyć.

I tak głęboko zamyślił się Dziczy Kieł, przedhistoryczny człowiek, który żył sobie, że omal nie spadł z drzewa.

Tymczasem wilkom znudziło się pilnować jednego człowieka przez tyle czasu i siwy wilk powiedział mu:

— Rzuć nam swoją zwierzynę, a damy ci spokój.

Dziczy Kieł rzucił im jelonka, którego zaraz wilki zjadły i poszły. Wkrótce Dziczy Kieł usłyszał ich

naszczekiwanie w innej stronie: widać znalazły inną zwierzynę.

Dziczy Kieł pomyślał sobie:

— Pójdę i popatrzę sobie jak poluje gromada.

Poszedł więc i wyjrzał z za drzewa: Na środku polanki stało stadko jeleni, a wilki rzucały się nań ze wszystkich stron.

— Niechybnie zagryzą całe stadko — pomyślał Dziczy Kieł. Ale w tej chwili zauważył coś dziwnego: jelenie stanęły kołem, wystawiwszy groźnie rogi nazewnątrz. Utworzyła się wspaniała forteca, do której wilki nie odważały się podejść. A jeśli któryś się odważył — wylatywał natychmiast w powietrze, podrzucony ostremi rogami.

— Ba! i jelenie, jak widzę, gromadą się biorą do rzeczy. Dlatego to wilki nie mogą dać im rady, mruknął Dziczy Kieł i poszedł dalej w puszczę.

ROZDZIAŁ IV.

W którym człowiek przekonywuje się, że dobrze jest żyć nietylko „sobie“.

Szedł i myślał, a że dobrze myślał, więc źle szedł (bo nie można dwóch rzeczy naraz robić dobrze) i potykał się. Naraz usłyszał nad sobą wrzaskliwy pisk ptaka i coś chlupnęło blisko w wodzie.

— Hallo! — powiedział Dziczy Kieł — nie mam zamiaru polować. Kto tam jest — niech się odezwie.

Na te słowa z wody wychyliła się paszcza nie tyle przyjemna, co antypatyczna i słodki głos się odezwał:

— Jestem Kajman Aligatorski, skromny administrator tego błotka z przyległościami. A tam w górze, mój sekretarz osobisty, pan Siewka.

Dziczy Kieł, zważywszy na prawidła grzeczności, obowiązujące dżentelmena nawet w puszczy, wyjął swój bilet wizytowy i wręczył go panu Siewce, który już nieco zniżył lot.

Pan Kajman odczytywał pod nosem:

— Dziczy Kieł — człowiek przedhistoryczny. Hm, hm, bardzo mi przyjemnie. Czem mogę panu służyć?

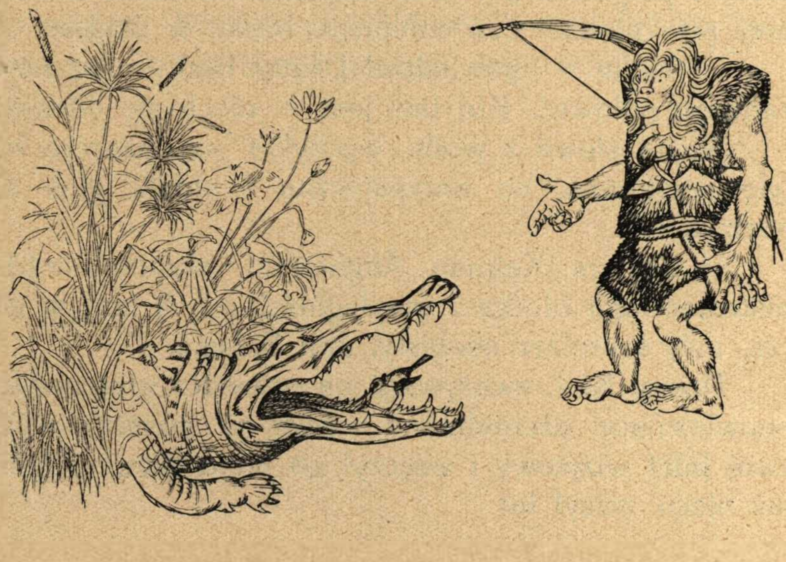
Dziczy Kieł powiedział uprzejmie:

— Czy nie mógłby mi pan udzielić małego wywiadu? Kiedy nadejdą już czasy historyczne i powstanie jaka gazeta, umieszczę go natychmiast w odcinku.

— Chętnie — powiedział pan Kajman. — Ale pozwoli Szanowny Pan, że tymczasem pan Siewka zrobi mi „zębykiur“, ma bowiem wrodzone zdolności dentystyczne, a ja właśnie jestem po obiedzie.

— „Zębykiur“? Cóż to takiego?

— A no — powiedział pan Kajman — jeśli może być „manicure“ i „pedicure“ czyli przyprowadzenie



do porządku rąk i nóg, to może być i „zębykiur“. A ponieważ dotychczas szczotek dla krokodyli nie wynaleziono...

Tu pan Kajman otworzył szeroko paszczę, a pan Siewka, sekretarz osobisty, wszedł do niej bez wahania i zaczął mu oczyszczać zęby, zjadając to, co wydłubał. Wreszcie skończył i pan Kajman zamknął paszczę. Poczem przepłukał paszczę wodą z rzeczki i powiedział:

— Jestem na pańskie usługi.

— Chciałem zapytać — podjął Dziczy Kieł — dlaczego pan nie zjadł pana Siewki, kiedy ten był, w pańskiej, że się tak wyrażę — paszczy? U nas, ludzi, kiedy jeden człowiek ma drugiego w swojej mocy, zazwyczaj robi mu jakąś krzywdę. Jak pan wie: „homo homini... lupus est“ — dokończył pan Kajman — wiem, wiem, że tak często bywa. Ale niech pan weźmie pod uwagę, że pomijając nawet względy moralne (Tu Dziczy Kieł podniósł bardzo wysoko brwi) — trzeba zrozumieć, że nieraz spółdziałanie jest poprostu lepszym interesem, niż ciągła „wojna wszystkich przeciwko wszystkim“.

— Tak... hm... zapewne... — bąkał Dziczy Kieł — przyznam się, że nie przypuszczałem, żeby właśnie pan...

— Ach, tak — westchnął pan Kajman. Każdy jest zawsze nieco lepszy od swojej opinji, a gorszy od nekrologu. Ja słynę, zdaje się, jako dzikie, krwio-

żercze bydlę, a jak pan widzi to niewinne ptaszę błądzi w mej jamie ustnej nietknięte i całe. Ono żywi się tem co znajdzie w moich zębach, a za to ostrzega mnie swym krzykiem, gdy podchodzi ktoś obcy, no i... tu pan Kajman uśmiechnął się przyjemnie — i nie wydaje się tyle na dentystę. Kiedy ostatni raz byłem u mojego dentysty, za plombę emaljową zaśpiewał mi taką poetyczną sumę, że musiałem zrezygnować.

Dziczy Kieł odszedł stamtąd jak odurzony.

Za chwilę zobaczył olbrzymi kopiec i małe istotki kręcące się koło niego.

— Czołem! Powiedział uprzejmie. Kto wy jesteście?

— Termity — odpowiedziało kilku osobników, dźwigając jakąś belkę. A jeden z nich widać urzędnik zatrzymał się i objaśnił zwięźle:

— Termity, z rodziny mrówek, (Formica) rząd błonkoskrzydłych (Hymenoptera), gromada owadów (Inscecta), typ stawonogów (Arthropoda).

— Bardzo dziękuję — powiedział zmięszany Dziczy Kieł, postanawiając sobie przy sposobności powtórzyć trochę zoologję. Tak, dziękuję, ale... czy nie mógł bym zadać kilku pytań?

— Czy pan dziennikarz? — ostro zapytał Termit. Bo do nas dziennikarzom nie wolno zachodzić.

— Broń Boże, powiedział Dziczy Kieł. Ja dla własnej wiadomości...

— A więc słucham. Tylko proszę krótko.

— Bardzo krótko: co to za olbrzym zbudował dla was ten kopiec-pałac?

— Olbrzym? — Uśmiechnął się o ile możności Termit. Żaden olbrzym; to my sami.

— Taaaaak? Jakim cudem?

— Nie tyle cudem, co wspólnym trudem — odpowiedział Termi i pobiegł szybko do roboty.

— Dziczy Kieł szedł i kręcił głową. Po drodze ął jeszcze przed ulem, gdzie już nic się nie pytał: rozumiał, że wspólny trud buduje olbrzymie budowle i geometryczne komórki woskowe i miód słodki, że daje obronę i pomoc.

Rozumiał to wszystko dobrze, ale... Tak, tak, było i „ale“, które zawsze tam wzrośnie, gdzie go nie posieją. Dziczy Kieł rozumiał, ale nie chciało mu się tego zrozumienia użyć.

— Tak... niby to racja — mruczał do siebie. — Ale iść do innych ludzi, namawiać ich, naradzać się, zapisywać, podpisywać... Nie chce mi się. Będę dalej żył „sobie“...

Na szczęście na lenistwo ludzkie jest dobry bat— „konieczność“. Kiedy wilki opadły Dziczego Kła po raz drugi tak, że ledwie uszedł z życiem, postanowił spróbować połączenia się z innymi ludźmi.

ROZDZIAŁ V.

Który mówi o sile gromady.

Dziczy Kieł wybrał się więc za rzekę, gdzie widział nieraz kręcące się postacie ludzkie. Nie wziął ze sobą żadnej broni, tylko zawiesił chustkę od nosa na patyku i machając nią, szedł w stronę dymu za rzeką.

Stanąwszy na brzegu, zawołał:

— Hallo! Jest tam kto?

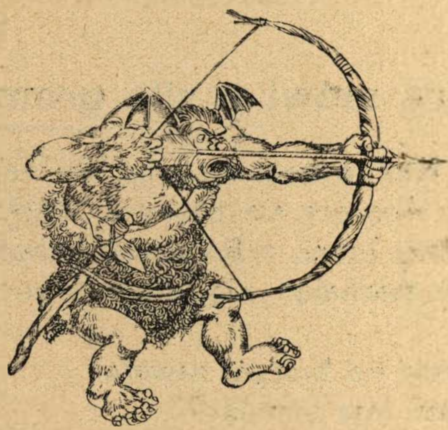
— A bo co? — odezwał się ordynarnie gruby głos i z za drzewa wychyliła się twarz ludzka ze skrzydłami nietoperza u skroni.

— Przychodzę w pokojowym zamiarze.

— Ho! ho! w pokojowym! — zaśmiał się szyderczo człowiek z za rzeki. — Myślisz pan, że mam pokój do wynajęcia? Nic z tego, nie mam. A gdybym miał, to i tak nie brałbym sublokatora. Zawsze są awantury o gaz i wodociąg.

— Ale nie chodzi mi wcale o mieszkanie — odpowiedział niecierpliwie Dziczy Kieł. — Mam własny apartament. Chciałbym zaznaczyć, że nie chcę wojny z szanownym panem, lecz pragnę się porozumieć we własnym interesie. Jestem nawet bez broni.

— Aha, jesteś bez broni! zawołał człowiek z za rzeki i wyskoczył z łukiem. — Zaraz cię sprzątnę.



I gdyby Dziczy Kieł się nie uchylił, byłby ozdobiony piękną, pierzastą strzałą.

— Warjacie! — zawołał Dziczy Kieł. — 'ak mi się odpłacasz? Zatrzymaj się, mam sposób na wilki.

— Na wilki? — powtórzył człowiek i opuścił łuk. Jeśli tylko nie łżesz, możemy pogadać. Wczoraj bestje napadły mnie w lesie, przedwczoraj zjadły mi przedhistoryczną pieczeń z przedhistorycznej sarny.

— A no właśnie. A wie pan dlaczego nas zwyciężają wszędzie i dokuczają nam?

— Bo silne.

— Nie, bo walczą gromadą, a „gromada światem włada".

— Wiesz, że ty niegłupio gadasz — powiedział człowiek z za rzeki. — Chodź na tę stronę, już ci nie zrobię żadnej dziury.

— Jestem Dziczy Kieł — przedstawił się uprzejmie Dziczy Kieł, przedostawszy się na drugą stronę.

— A ja się nazywam Wampir Grubaśny — odpowiedział człowiek z za rzeki.

Dziczy Kieł wyłożył mu pokrótce sens i cel połączenia się w gromadę.

Hm, hm. Nie bardzo mi się to widzi — mruczał Wampir Grubaśny — ale ostatecznie można spróbować.

Poszli więc we dwóch do Czerwonej Papugi, mieszkającego nad jeziorem. Potem poszli we trzech do Tęgiego Bawoła. Potem we czterech do Centkowanego Pioruna. Potem w pięciu do Płowego Jastrzębia. Potem w sześciu do Chytrego Rysia. Potem w siedmiu do Zwinnego Węża. Potem w ośmiu do Ponurego Borsuka. Potem w dziewięciu... słowem zebrało się ich dwudziestu czterech. A jest to, jak wiadomo, szczęśliwa liczba, bo dzieli się przez 1, 2, 3, 4, 6, 8, 12 i 24.

Gromada, zebrawszy się, postanowiła wybrać wodza. Uradzili wybrać najsilniejszego i zaczęli próbować, kto jest najsilniejszy. Najsilniejszych było dwóch: Dziczy Kieł i Wampir Grubaśny. Kiedy zaczęli między sobą walczyć, Wampir Grubaśny podstawił nogę Dziczemu Kłowi i został wodzem.

Od tego czasu nieraz ten zostawał wodzem, kto umiał innym podstawiać nogę, ale zwykle kończy się na tem, że ludzie się poznają co jest wart taki wódz.

Oczywiście przedhistoryczna gromada nie myślała jeszcze o tem, co tu mówimy. Wzięli tylko wszyscy duże maczugi nabijane krzemieniami i poszli na wilki. Otoczyli je gromadą i zaczęli prać na oślep. Skończyło się na tem, że wytłukli wszystkie wilki.

Od tego czasu postanowili polować razem. Kiedy więc zobaczyli jakiego mamuta, natychmiast rozdzielali się na dwie części: jedna szła z wielkim hałasem i pędziła przed sobą mamuta, druga zaczajała się i strzelała zatrutemi strzałami.

Tak sobie polowała przedhistoryczna gromada i w puszczy robiło się coraz mniej dzikich zwierząt. Dziczy Kieł widział to dobrze, ale nic nie mówił, gdyż nie był wodzem i nie należała do niego troska o aprowizację. Dziczy Kieł chodził z innymi na polowania i słuchał rozkazów Wampira Grubaśnego, choć o jego inteligencji miał własne zdanie.

Gromada tymczasem musiała iść w inne strony, gdzie było więcej zwierzyny. Ale cóż? Kiedy przemieszkano dwa, trzy miesiące w jakiej okolicy, trzeba było znowu ruszać dalej.

Nikomu nie podobały się te częste przeprowadzki. Czerwona Papuga mówił nawet:

— Rozumiem jeszcze raz na rok wyjechać na letnie mieszkanie. Tak robi wiele osób i uważam to za stosowne, ale włóczyć się z kąta w kąt, jak samochód bez kierownika, to niema sensu.

Chytry Ryś przykładał palec do czoła i mówił:

— Trzebaby coś wymyśleć na to!

Ale nic nie wymyślał. Za to wszyscy wymyślali na wodza:

— Co on sobie myśli? — mówiono. — Bierze sobie zawsze największe i najlepsze kąski, a potem suszy i sprzedaje nam za strzały, oszczepy i bumerangi. Nie ma prawa tak robić. A przytem jest głupi jak stołowe nogi: nie umie dbać o dobro gromady, a nadyma się jak ta żaba z bajki, która chciała dorównać wołowi. Gromada cierpi głód, a on nic na to nie poradzi.

Dostało się też ni z tego, ni z owego Dziczemu Kłowi:

— To twoja wina! — wrzeszczeli. — To tyś się przyczynił do zawiązania gromady. Mówiłeś, że gromada zawładnie światem, a teraz co? Nasza siła nic nie może poradzić na naszą biedę.

Dziczy Kieł uśmiechnął się i powiedział:

— Moi kochani! Są wypadki, że siła człowieka nic mu nie może pomóc, wtedy człowiek musi walczyć rozumem. Kiedy siła i rozum jednego człowieka nic nie wskórają, pomaga siła gromady. A gdzie siła gromady nie poradzi, tam...

— Tam? Tam? Tam co? — zawołała chórem przedhistoryczna gromada.

— Tam pomoże — rozum gromady.

— Jakże to? — pytała go gromada. — Cóż na to trzeba robić? Gdzie jest ten rozum gromady?

— Posłuchajcie! — powiedział Dziczy Kieł. — Trzeba nam zrobić wiec, zgromadzenie. Każdy pomyśli sobie co poradzić na naszą biedę, a potem zbierzemy się, z każdego z tych projektów weźmiemy potrosze, złączymy to, omówimy, skrytykujemy i zrobimy wspólny projekt gromady. Rozumiecie?

— Rozumiemy! — zawołała gromada.



ROZDZIAŁ VI.

O rozumie gromady.

Wampir Grubaśny zagaił posiedzenie temi słowy:

— Wysoka Rado! Widzę, żeście się, łajdaki, zmówili, żeby mi dokuczyć. Kiedy tak, to pal was sześć! Nie będę wodzem i zobaczymy co zrobicie.

Wampir myślał, że gromada okropnie się zmartwi, ale gromada wcale się nie zmartwiła, tylko zawołała:

— Doskonale! Dziczy Kle... Dziczy Kle! Ty bądź naszym wodzem!

Dziczy Kieł się zgodził i zaraz zadzwonił, żeby było cicho, potem napił się wody ze szklanki i powiedział:

— Na porządku dziennym: 1-mo zagajenie. (To już). 2-do wybór przewodniczącego (to także już), 3-io dyskusja w sprawie zaradzenia brakom myśliw-

stwa, 4-to — wolne wnioski. Kto chce zabrać głos w sprawie trzeciego punktu?

Wampir zaraz zabrał głos, ale się tylko zasypał. Powiedział:

— Dlatego jest trudno coś upolować, że chodzimy kupą. Niech każdy sobie rzepkę skrobie, to będzie najlepiej.

Wszyscy zaczęli śmiać się i gwizdać, a Dziczy Kieł powiedział:

— Mój przedmówca nie jest taki znów inteligentny, jakby się to jemu samemu zdawało. Przez połączenie w gromadę staliśmy się silni, nie boimy się ani wilków, ani rysiów, ani nawet mamuta. Mój szanowny przedmówca potrafiłby może oskrobać sam rzepkę, ale wątpię, czy potrafiłby oskrobać mamuta. Raczej mamut oskrobałby jego.

Potem zabierali głos inni.

Tęgi Bawół powiedział:

— Mnie się zdaje, że gdzieś daleko muszą być jeszcze obszary pełne zwierzyny. Trzebaby poszukać.

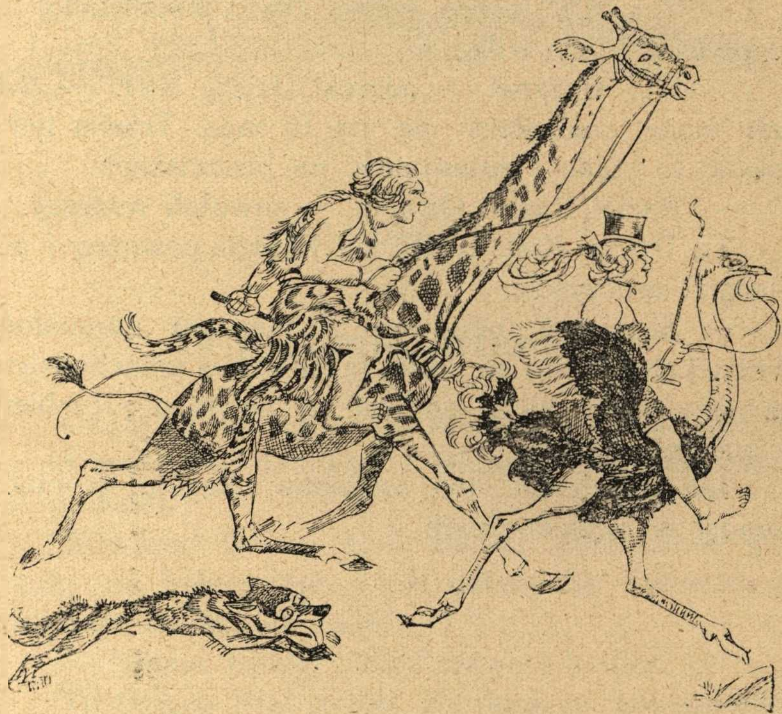
Ale zaraz mu na to odpowiedział Zwinny Wąż:

— Kolega zapomina, że to są czasy przedhistoryczne i że nie mamy wcale map. Wskutek tego bardzo łatwo zabłądzić, tembardziej, że nic jeszcze nie wiemy, czy ziemia jest okrągła.

— Proszę o głos! — odezwał się Ponury Borsuk, a kiedy udzielono mu głosu, mówił:

— Możeby otoczyć jaką wielką przestrzeń i powoli wybijać wszystkie tam znajdujące się zwierzęta?

— Tak, ale czem otoczyć? — odezwał się Tęgi Byk. — Może wstążeczkami? I jeszcze pozawiązywać



na kokardki? Przecież nie mamy jeszcze wcale powrozów, ani drutu.

— A jednak to nie jest zła myśl — powiedział Dziczy Kieł. — Możeby zrobić tak: naścinać dużo

drzew, narobić dużo pali, zrobić częstokół i wpędzić tam jakie stado. W ten sposób będziemy na dłuższy czas zabezpieczeni i nie będzie się marnowało tyle zwierzyny co teraz, kiedy się nie wie, czy jutro będzie mięso i wybija się wszystko co pod ręką.

— Tak, ale trzeba czemś żywić takie stado! — powiedział Rudy Wilk.

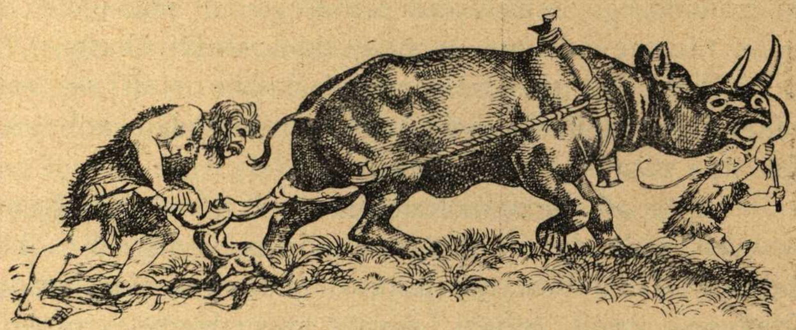
— I to słuszne! — odrzekł Dziczy Kieł. — Jednak może znalazłaby się na to rada. Trzeba tylko oswoić to stado i potem paść na pastwiskach.

— Racja! Racja! Oswoić — zawołali wszyscy.

Tu Dziczy Kieł zrobił się bardzo poważny i powiedział uroczyście:

— Szanowni panowie! Zaznaczam doniosłość obecnej chwili: oto ze stanu myśliwstwa przechodzimy do stanu pasterskiego, co jest już pewnym szczeblem w postępie kultury.

Jak uradzono, tak zrobiono. Rozum gromady pomógł w ciężkiej chwili.



ROZDZIAŁ VI.

O rozumie gromady.

Okazało się jednak w niedługim czasie, że zaczyna brakować pastwisk i znowu trzeba koczować, jak dawniej.

Wówczas Dziczy Kieł zwołał posiedzenie gromady, na którem (po wielu debatach) wyłoniła sie nareszcie doskonała rada:

— Niema trawy? Siać trawę i koniec.

Tu Dziczy Kieł zrobił się jeszcze poważniejszy i powiedział jeszcze uroczyściej:

— Szanowni panowie! Podkreślam niesłychaną ważność niniejszego momentu: oto z okresu pasterstwa przechodzimy do okresu rolnictwa. Z życia

koczowniczego — do życia osiadłego, co pociągnie za sobą nieprzewidziane w swej doniosłości skutki.

Kiedy już przedhistoryczni ludzie stali się rolnikami, musieli wymyślać różne narzędzia rolnicze, jak np.: motykę, sochę i bronę.

Także od narzędzi krzemiennych przeszli do bronzowych, a kiedy im się to znudziło, wymyślili sobie żelazo. Dziczy Kieł nie ustawał jednak w swej pracy. Pewnego razu znowu zwołał posiedzenie gromady i powiedział:

— Szanowna gromado! Dużo jest niewygody z tem, że jak kto chce poprawić, albo zrobić sochę czy bronę, to musi stracić kilka dni i przez ten czas może mu zgnić, albo wysypać się z kłosów zboże. Dlatego proponuję podział pracy. Jeden niech będzie stolarzem, drugi kowalem, trzeci rymarzem i tak dalej. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda — zawołała gromada i zaraz podzielili się na różne zawody.

A Dziczy Kieł, ucieszony, powiedział:

— Widzicie panowie, do czego prowadzi praca gromady, zbliżamy się już prawie do okresu historycznego.

I rzeczywiście, okres ten się zbliżał. Zaczęło się od powstania handlu i sztuki pisania.

Jeżeli w jednej wsi był kowal, wyrabiający doskonałe siekiery, a w promieniu kilkunastu mil nie było kowala, to ludzie musieli wędrować z różnych stron

świata, żeby kupić potrzebną siekierę. Zrozumiał to Wampir Grubaśny i powiedział:

— Po co wy wszyscy macie się fatygować? Lepiej niech ja jeden poświęcę się dla ludzkości. Kupię od kowala dużo siekier i będę rozwozić. A wy za moje ryzyko, za mój trud, za niebezpieczeństwa, na które się narażam, dacie mi więcej niż kowalowi, ale nie będziecie potrzebowali ruszać się z domu. Tymczasem Dziczy Kieł wymyślił pismo i wydał „Pierwsze prawo przedhistoryczne".

Wówczas to Wampir Grubaśny ogolił sobie bradę i powiedział:

— Nie jestem już człowiekiem przedhistorycznym, wchodzę już do okresu historycznego, nazywam się od tej chwili Wampirski i zakładam pierwszy dom handlowy, pod firmą „Wesołego Mamuta".

ROZDZIAŁ VII.

O kupcu Wampirskim i gromadzie.

Nie można zaprzeczyć temu, że pan Wampirski robił z początku wygodę gromadzie: rozwoził, przewoził, sprowadzał i sprzedawał to, co zrobili inni. Ale z czasem zaczęło się to trochę psuć: to co pan Wampirski kupił za jedną owcę i dwa jagnięta — sprzedawał za cztery owce (owce używane były wtedy zamiast pieniędzy). Ale mało tego: do mąki dosypywał gipsu, do cukru dolewał wody, a do herbaty patyków. Twierdził, że Chińczycy taką właśnie pijają.

A nikt nie mógł mu nic zrobić, bo stał się naprawdę panem gromady. Każdy był mu winien kilka owiec, które oddawać musiał z jagniętami, jako procentem. Rozkazywał ze swego domu „pod Wesołym Mamutem“ całej okolicy. To, co on przywiózł musieli wszyscy kupować, choćby było w najgorszym stanie.

Przechwalał się też pan Wampirski:

— Ja tu rządzę! Co ja każę—musicie jeść; co ja każę — musicie nosić. I cóż wam pomoże wasz Dziczy Kieł?

Ludzie kręcili głowami z całych sił, ale to nic nie pomagało. Wreszcie przyszli do Dziczego Kła i powiadają:

— Co ty o tem wszystkiem myślisz?

— Co ja myślę? Myślę, że pan Wampirski grubo się myli, że to on ma rządzić kupnem i sprzedażą. Przecie to my potrzebujemy siekier i ubrań i butów. Więc o nasz gust i o nasze zdanie tu chodzi, a on powinien być naszym sługą za pieniądze, które dostaje.

— No tak, tak! — powiedziała gromada. — Masz zupełną rację, ale racja nie zawsze pomaga. Co tu robić, żeby uwolnić się od tyranji Wampirskiego.

— Co? — powiedział Dziczy Kieł — a co robiliśmy do tej pory?

— Działaliśmy gromadą! — krzyknęli wszyscy.

— No, widzicie! Tylko, że dawniej mieliśmy wrogów poza gromadą, a teraz w samej gromadzie. Ale to nie zmienia sprawy.

— No, dobrze — powiedział Tęgi Bawół, który miał ciężkie pomyślenie — ale cóż my mu zrobimy? Zabijemy, jak wtedy, wilki, czy oswoimy, jak kiedyś bydło?


KASA
UPRASZA SIE O
LICZENIE
BARANÓW PR
BARANA
KAKAO
AN HOU
96%

— Ani jedno, ani drugie — roześmiał się Dziczy Kieł. — Musimy tylko sami zająć się dostarczaniem produktów.

— Jakto? — zapytał Tęgi Bawół.

— A no takto, że nie będziemy brać od Wampirskiego siekier, ubrań i butów, tylko wprost od kowala, krawca i szewca. Więc to, co on zarabia — my zarobimy.

— Ba, ale jak to zrobić? — wtrącił Czerwona Papuga.

— Nic łatwiejszego — powiedział Dziczy Kieł — Każdy da pewną ilość baranów, a jeden z nas pójdzie, zakupi co będzie potrzeba i zajmie się prowadzeniem sklepu.

Tak też zrobiono.

Dziczy Kieł został wybrany na kierownika całej tej sprawy. Zebrał więc owce i zanotował sobie na korze brzozowej, ile kto wniósł do wspólnej kasy. Potem ruszył w podróż. Za miesiąc zjawił się już na wielkiej platformie zaprzężonej w mamuta. Platforma była potężnie naładowana.

Potem w środku wsi rozbito wielki wigwam i wywieszono napis: „Ul" — sklep przedhistorycznej kooperatywy spożywców.

Zlecieli się ludzie całą gromadą. Pierwszy wpadł Tęgi Byk i zawołał:

— No, teraz dawajcie mi towaru za moje barany.

— Hola! — powiedział Dziczy Kieł — kupno tylko za gotówkę!

— Jakto? — zaryczał Tęgi Bawół — Nie dosyć, że dałem pięć baranów i dwa jagnięta, jeszcze mam kupować za gotówkę?

— Kochany Tęgi Bawole — powiedział Dziczy Kieł — twoje barany nie zginą, ale zrozum, że kiedy będziemy chcieli kupować nowy zapas towaru, to znowu będziemy musieli zbierać barany. A tak zawsze można dokupić.

— No, już dobrze — powiedział Tęgi Bawół — Więc ile kosztuje ta siekiera?

— Trzy owce.

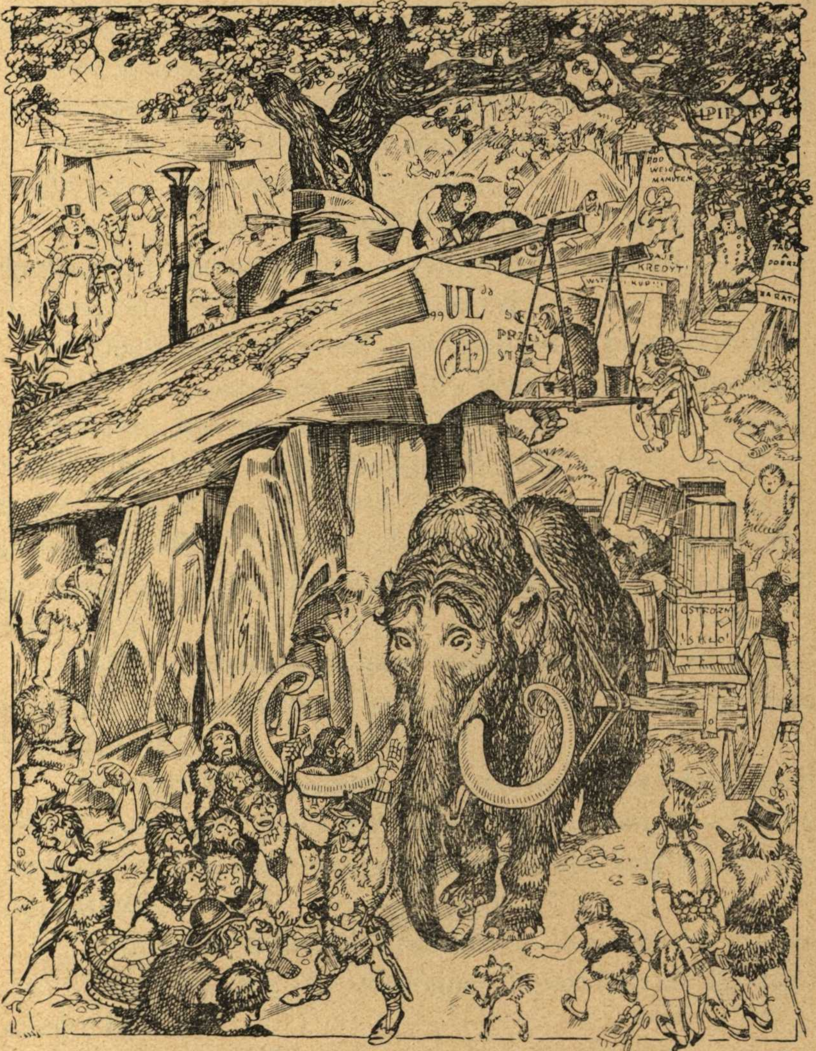
— Gwałtu! — zaryczał Tęgi Bawół. — To jest oszukaństwo najbezczelniejsze w świecie. Miało być taniej, tymczasem cena jest taka sama, jak u Wampirskiego.

Dziczy Kieł znowu musiał tłumaczyć.

— Owszem, będzie taniej, ale jeślibym ci teraz ustąpił, miałbyś tylko małą oszczędność, a jeśli ci dam w końcu roku wszystkie te nadwyżki, to będzie tak, jakbyś składał w kasie oszczędności. I w dodatku: im więcej kupisz, tem więcej zarobisz, tem więcej ci zwrócą.

Tęgi Bawół patrzył długo baraniemi oczami, potem roześmiał się szeroko:

— To ci łeb, ten Dziczy Kieł! Wykombinował bestja chytrze. No, dawajże tę siekierę.


UL
MAMUTEM
KREDYT!
ZA RATY

Inni też kupowali, co im tam było potrzeba, kiedy naraz rozległ się krzyk:

— Wampirski jedzie! Wampirski!

I rzeczywiście: główną ulicą jechał Wampirski w nowym cylindrze, na wielbłądzie, a za nim jechała cała karawana z towarem.

— A to co? — zawołał Wampirski widząc sklep spółdzielni spożywców. — Kto to śmiał zrobić? Czy nie wiecie, że ja rządzę handlem?

Dziczy Kieł wyszedł z wigwamu i powiedział:

— Myli się pan, panie Wampirski. Handlem rządzi ten, kto kupuje czyli spożywca, a nie kupiec, który jest tylko jego sługą. A jeśli kupiec ze sługi chce wyrosnąć na pana i zamiast dbać o wygodę gromady, dba o swoje dobro — wówczas gromada go usuwa i sama sprowadza sobie towar wprost od wytwórcy.

Mam nadzieję, że pan zrozumiał ten mój wykładzik ekonomiczny, jakkolwiek nie grzeszy pan inteligencją.

Wampirski odjechał bez słowa i otworzył swój sklep, zwołując gości na całe gardło. Ale to nic nie pomagało: wszyscy szli do skromnego wigwamu kooperatywy.

Siódmego dnia po południu Wampirski cichaczem wsunął się do wigwamu i powiedział do Dziczego Kła.

— Trudno. Zwyciężyliście mnie. Poddaję się.

— Zwyciężyliśmy cię, bo współdziałaliśmy zgodnie i rozumnie.

— Pięknie, pięknie. Otóż... hm... tego... i ja gotów jestem przystąpić do spółki.

— Do spółdzielni chyba?

— A czyż to jest różnica?

— Jest. Spółka dba tylko o szybkie zbogacenie swoich wspólników, a spółdzielnia patrzy nieco dalej. Odkłada ona część zysków na różne instytucje, szkoły, kasy, bibjoteki, pomaga powstawać innym spółdzielniom.

— Ależ to niema sensu! To musi się zmienić i zmieni się, jak tylko ja wejdę do spółki.

— Wątpię.

— Zobaczymy. Otóż ja daję sto baranów. Ile głosów mi za to dajecie w głosowaniu nad kierowaniem spółką?

— Ile głosów?

— No, tak. Przecież w każdej spółce akcyjnej temu, który ma więcej akcyj, dają więcej głosów.

— U nas pan dostanie jeden głos.

— Jakto? za moje sto baranów?

Kochany panie Wampirski — powiedział Dziczy Kieł. U nas są tylko ludzkie głosy, a nie baranie A ponieważ pan jest jednym człowiekiem — dostanie pan jeden głos.

I pan Wampirski musiał z bólem serca wyrzec się baranich głosów swego kapitału.

ROZDZIAŁ VIII.

O tem, co było potem.

A potem to już było wcale nieźle. Z wigwamu zrobił się wielki gmach, przed który zajeżdżały wozy i platformy, ciągnione przez strusie, żyrafy i brontosaurusy.

Towar w sklepie był wprost przedni: scyzorykiem tam kupionym można było uciąć największe drzewo, ryżową szczotką można było czarnego mamuta wymyć do zupełnej białości, a masło było zawsze prosto od krowy.

Obok głównego gmachu stał ładny biały domek, gdzie mieściła się szkoła i gdzie pan nauczyciel uczył małe przedhistoryczne człowieczątka sztuki drapania się po drzewach.

Niedaleko był dom ludowy, w którym mieścił się klub, czytelnia, bibljoteka, teatr amatorski, muzeum, sala gimnastyczna, wanny i tani bufet.

Ludność całej wsi (a także okolicy) miała się coraz lepiej. Przyszedł wreszcie czas, że rzadko kto jeździł wierzchem na żyrafie lub strusiu, a po ulicach miasta zaczęły śmigać samochody. Pewnego dnia ukazała się w gazecie wiadomość, że przyszły już czasy historyczne. Wtedy ludzie na gwałt zaczęli zrzucać skóry, a wkładać kołnierzyki, kapelusze i lakierki.

Być może jednak, że pod nowoczesnem ubraniem dojrzycie czasem przedhistorycznego człowieka i to jeszcze z tych czasów, kiedy ludzie „żyli sobie“ i każdy był wilkiem dla drugiego człowieka.

Wy jednak wiedzcie, że kultura to nie kołnierzyk, lecz umiejętność rozumnego współdziałania pod hasłem: „Gromada—światem włada“.

